

Dziesiątka z Darlington, jak nazywano zdekonspirowanych szpiegów, zamiast dyskretnie zniknąć w cieniu (zdemaskowanego szpiega służby zazwyczaj ukrywają, ze względów operacyjnych i prestiżowych) wylądowała na świecznikach. Prezydent Miedwiediew z wielką pompą nagroził ich najwyższymi odznaczeniami państwowymi. Wkrótce większość otrzymała ciepłe posady w spółkach naftowych. Annie przypadła rola celebrytki. Najpierw jednak mianowano ją doradcą ds. innowacji i inwestycji prezesa rosyjskiego banku Fund-ServiceBank. W tej roli wystąpiła publicznie po raz pierwszy, gdy na terenie kosmodromu Bajkonur obserwowała wystrzelenie rakiety – jako przedstawiciel banku, który współpracuje z firmami działającymi w przemyśle lotniczym.

Posypały się kolejne propozycje. Została redaktorką naczelną „Venture Business News”, pisma wydawanego przy współpracy z Dow Jones & Company, firmy należącej do News Corporation Ruperta Murdocha. Prowadzi autorski program „Tajemnice świata z Anną Chapman” w telewizji Ren TV. Tabloidy zachwycają się

urodą „Bonda w spódnicy”, wychwalają wyczyny szpiegowskie (nie precyzując jednak, o jakie to wyczyny miałyby chodzić). Rodacy szaleją na jej punkcie, w barach karaoke śpiewają patriotyczną pieśń z czasów ZSRR – tę, którą agentka odśpiewała z premierem Putinem. W rosyjskiej edycji czasopisma dla mężczyzn „Maxim” ukazują się zdjęcia z rozbieranej sesji, oczywiście z pistoletem jako nieodłącznym rekwizytem „niebezpiecznej, seksownej ślicznotki”, której wg „Maxima” Anna jest uosobieniem.

W lutym Chapman, na wzór Paris Hilton, zastrzegła w urzędzie patentowym swoje nazwisko. Jej wielbiciele mogą się spodziewać sygnowanych nim produktów – biżuterii, zegarków, ubrań czy nawet wódki. Próbuje swoich sił w polityce, zostaje twarzą młodzieżówki prokremłowskiej partii.

Zgodnie z oczekiwaniami Kremla, popularność Bonda w spódnicy skutecznie przesłoniła kulisy afery szpiegowskiej. Przesłoniła także fakt, że w czerwcu ubiegłego roku doszło do spektakularnej kompromitacji rosyjskich sił bezpieczeństwa i wywiadu – oczka w głowie Pu-

Agentka Anna nie miała problemów z rozebraniem się przed fotografem „Maxima”. Numer rozszedł się błyskawicznie.

tina. Bo wpadka siatki szpiegów nie była niczym innym jak wielką kompromitacją. Piotr Żochowski, komentując zadziwiającą popularność rudowłosej agentki, mówi wprost, że jest to chytry piarowski plan Putina, który porażkę zamienia w sukces. Plan jak widać skuteczny. – W ten sposób Putin przekazuje Rosjanom jasny komunikat: że warto współpracować, warto służyć państwu. Że służby specjalne nie zostawiają swoich ludzi. Przywodzi to na myśl czekistowską tradycję gloryfikowania bezpieczeństwa.

Gdy przyglądamy się zaskakującemu epilogowi tej historii szpiegowskiej, powinniśmy pamiętać jeszcze o jednym. Od czasu przejęcia władzy przez byłego oficera wywiadu Władimira Putina Służba Wywiadu Zagranicznego Rosji ma się wyjątkowo dobrze, jej budżet wciąż rośnie. Można odnieść wrażenie, że Kreml, inwestując w wywiad, stosuje odwieczną strategię pokazywania swojej siły, prężenia mięśni. Celebracja „jednej z dziesięciu” jako bohaterki narodowej także jest istotną częścią tej strategii.

ELŻBIETA WICHROWSKA

Polski wywiad: wielcy agenci i zawistne miernoty



MARIAN WŁODZIMIERZ ZACHARSKI (ur. 1951 r.) generał wywiadu, najbardziej znany polski szpieg po 1945 r. W latach 1975–1981 pracował jako szef filii Polish-American Machinery Company (Polamco) na Zachodnim Wybrzeżu USA, jednocześnie prowadząc działalność na rzecz I Departamentu MSW (wywiad). Udało mu się zwerbować eksperta ds. systemów radarowych w Hughes Aircraft Corporation Williama Bella. Dzięki jego współpracy wywiad PRL wszedł w posiadanie najtajniejszych sekretów amerykańskiego przemysłu obronnego. W 1981 roku – prawdopodobnie za sprawą „odwróconego” przez Amerykanów pracownika MSW Jerzego Korycińskiego – Zacharski i Bell zostali zatrzymani przez FBI. Polaka skazano na dożywocie (Bell w zamian za współpracę z FBI dostał jedynie 8 lat). W 1985 roku Zacharskiego wymieniono – na berlińskim moście Glienicke – na ponad 20 agentów amerykańskich, w tym Norberta Adamaschka i Jacka Jurzaka (o których pisaliśmy w numerze 02/2011 r.). Po 1989 r. został pozytywnie zweryfikowany i zatrudniony w Urzędzie Ochrony Państwa (dostał nawet nominację na szefa wywiadu). W 1996 r. uczestniczył w akcji werbowania rosyjskiego agenta Władimira Ałganowa, który miał posiadać informacje na temat współpracy premiera Józefa Oleksego z KGB (tzw. sprawa „Olina”). Rozpętała się polityczna burza, w wyniku której Zacharski musiał opuścić Polskę.

Na to spotkanie czekałem kilka tygodni – generał Marian Zacharski rzadko udziela wywiadu, a jeśli już, to poza Polską. W kraju Zacharskiego nie było już od wielu lat – w 1996 roku podjął dramatyczną decyzję o emigracji, w związku ze swoim udziałem w tzw. aferze „Olina”, czyli rosyjskiego szpiega, funkcjonującego na szczytach polskiej władzy (podejrzanie padło na byłego premiera Józefa Oleksego). Wprawdzie informacje zdobyte przez Zacharskiego, a ogłoszone z trybuny sejmowej przez szefa MSW Andrzeja Milczanowskiego, doprowadziły do odejścia Oleksego, jednak generał, zarówno dla lewicowej władzy, jak i dla części mediów stał się persona non grata. Nie miał wyboru – aby uniknąć trudnych do przewidzenia konsekwencji, wsiadł do samolotu i udał się – jak to enigmatycznie wspominał po latach – albo do Austrii, albo do Szwajcarii. Zresztą kulisy tego wyjazdu to temat na osobną, fascynującą opowieść. Obecnie Zacharski mieszka gdzieś w Europie, ale dokładny adres zna tylko garstka najbliższych mu osób.

My umówiliśmy się w Berlinie – generał zaproponował kawiarnię luksusowego hotelu Kempinski (tuż przed wojną działała pod szyldem F. W. Bourchart) na rogu Fasanenstrasse i Ku'dammu, czyli w miejscu, które w latach 30. odwiedzał Jerzy Sosnowski, agent przedwojennego wywiadu i bohater książki „Rotmistrz”, którą napisał Zacharski.

O 19.15 dostałem SMS-a – „Czekam na Pana”..

Artur Górski: Jak wygląda typowanie obiektu do werbowania i „podchodzenie” do niego? Myślę, że mało kto w Polsce tak jak pan zna odpowiedź na to pytanie.

Marian Zacharski: Wszystko zależy od oceny oficera wywiadu – czas od wytypowania do zwerbowania może być naprawdę krótki, jeśli mamy do czynienia z osobą „głodną”, w sposób czytelny chętną do podjęcia współpracy. Ale może

też minąć kilka miesięcy spokojnego, cierpliwego kultywowania znajomości, rozpoznawania wad i zalet kandydata. Trzeba również ustalić ponad wszelką wątpliwość, czy figurant ma rzeczywiście dostęp do istotnych tajemnic.

A.G.: Takich, do jakich miał dostęp William Bell, zwerbowany przez pana?

M.Z.: Tak. Jeśli oficer dochodzi do wniosku, że ma do czynienia z taką wta-

śnie osobą, to nie może uprawiać jakiejś „harcerki”, nie może podejmować pochopnych, nie do końca przemyślanych kroków. Musi nabrać pewności, że figurant jest naprawdę gotów do decydującej rozmowy. Bo szansy na drugie podejście zwykle już nie będzie. Nawet jeśli zaczynają się rozmowy na tematy niejawnie, rozpracowywany nie zawsze musi „oficjalnie” wiedzieć, że chodzi o werbunek.



Tak jak było ze mną i z Bellem. Interesowało mnie, czym się dokładnie zajmuje jego firma, szczególnie chciałem poznać dane o wszelkich innowacjach, patentach. Bell powiedział mi, że wprawdzie sam jest autorem kilku patentów, ale oczywiście ich prawowity właściciel to jego firma Hughes Aircraft Company, a nie on. Dodał, że nie ma prawa ich upubliczniać. Powiedziałem, że doskonale to rozumiem, i że interesuje mnie wyjątkowo procedura przyznawania patentów. Poprosiłem, aby pokazał mi czysty wniosek patentowy. Przyniósł. Po jakimś czasie pokazał mi swój wniosek patentowy wypełniony detalami nowatorskich rozwiązań technicznych, co było kolejnym krokiem w pożądaną stronę.

A.G.: Ale oczywiście jeszcze się nie zorientował, co jest grane?

M.Z.: Nie wiem, nie dotykaliśmy tej sfery. Nie było potrzeby dodatkowo go stresować. Zresztą muszę przyznać, że w ciągu naszej współpracy ani razu nie padło słowo wywiad czy szpiegowanie. Kolejnym etapem było pokazanie mi wewnętrznych gazetek zakładowych HAC, które już stanowiły naprawdę takomy kasek dla wywiadu. Następnie spytałem, czy nie udostępniłby mi zakładowej książki telefonicznej. Uzasadniałem to tym, że dla faceta, zajmującego się sprzedażą maszyn z Polski, byłaby ona nieocenionym źródłem kontaktów. Bell nie widział w tym nic złego, i przyniósł mi tę książkę. A przecież to była kopalnia wiedzy na temat osób pracujących w firmie operującej w strategicznym sektorze. Dodatkowo precyzowała również lokalizacje (nie zawsze do końca rozpoznane) poszczególnych filii tej wielkiej firmy.

A.G.: No, ale wciąż mowa o materiałach z wywiadu białego, względnie szarego. Trudno dostępne, ale nie poufne.

M.Z.: Ale dzięki nim Bell powoli, systematycznie wsiąkał we współpracę, mając poczucie, że nie robi niczego złego, a jedynie pomaga swemu przyjacielowi z Polski. Na 25-lecie pracy zawodowej dostał imponujące tomisko „Book of radars”. Kiedy się o tym dowiedziałem, poprosiłem Billa: „tyle mi opowiadasz o tych radarach, a ja nie do końca mam rzeczywiste pojęcie, o co chodzi. Wspominasz o efektach Dopplera itp., a to nie zawsze jest dla mnie czytelne. Czy mógłbym przejrzeć tę księgę? Będzie nam się łatwiej rozmawiało”. Niby to też nie było wydawnictwo niejawne, ale dostatem za nie osobne podziękowanie od wojska – takie miało dla nich znaczenie! W tym czasie kilkakrotnie poratowałem Bella większą sumą pieniędzy, choć oczywiście na zasadzie przyjacielskiej pożyczki.

A.G.: I w końcu przyniósł panu jakiś dokument, którego teoretycznie nie miał pan prawa zobaczyć?

M.Z.: Tak – tajny materiał dotyczący CAWGS (Covert All Weather Gun Systems – zamaskowany system kierowania ognia w trudnych warunkach atmosferycznych) oraz systemów obronnych, które miały być panaceum na potężne siły pancerne Układu Warszawskiego. Amerykanie bardzo obawiali się natarcia czotgów z krajów demokracji ludowej na Europę Zachodnią i prowadzili prace nad bombami kasetowymi wyposażonymi w pociski z sensorami namierzającymi pojazdy pancerne z góry. Bell był bardzo przejęty, wręczając mi ten dokument, z nerwów zrobił się czerwony na twarzy.

A.G.: Ale przyzwyczaił się do nowej roli?

M.Z.: Tak, i to szybko. Zaczął mi dostarczać kolejne materiały z taką częstotliwością, że musiałem harować jak w kamieniołomach. Kwity płynęły dostownie drzwiami i oknami. A przecież jako szef filii Polamco na Wybrzeżu Zachodnim i tak miałem dużo pracy.

A.G.: Czyli w wypadku Bella motywem podjęcia współpracy były po prostu pieniądze?

M.Z.: Na pewno tak, ale jednocześnie myśmy naprawdę się polubili i Bell z pewnością miał poczucie, że wspiera mnie z sympatii. Oczywiście, musiałby być idiotą, żeby po tylu latach pracy w przemyśle zbrojeniowym nie domyślił się, co jest grane. Jednocześnie cały czas starałem się utwierdzać go w przekonaniu, że działamy w słusznej sprawie – podarowałem mu kiedyś pamiętniki Churchilla, mówiąc: „zobacz, jak nas, Polaków, wykiwali w czasie wojny. Myśmy tyle dla nich dobrego zrobili, a oni nas rzucili na pastwę Stalina”. Wielokrotnie rozmawialiśmy o Katyniu.

A.G.: Czy prowadzący pana oficer kiedykolwiek spotkał się z panem w USA?

M.Z.: Ależ skąd – widywaliśmy się jedynie w Warszawie, do której przyjeżdżałem mniej więcej co trzy miesiące. Oczywiście przeważnie zrywany byłem przez mojego oficjalnego szefa, czyli dyrektora Metalexportu, któremu podlegało Polamco.

A.G.: Zdarzało się panu przewozić jakieś tajne dokumenty osobiście?

M.Z.: Tak, niejednokrotnie. Większość informacji wysyłałem jednak z Ameryki, przy czym raporty pisałem w gmachu strzeżonym – w polskim przedstawicielstwie, w pokoju zabezpieczonym, do ręki dostawał je tylko rezydent. Jeśli sprawa była pilna, to rezydent sztyfował raport tak zwany sztyfem rezydentem, potem dawał sztyfantomu do ponownego zaszyf-

rowania. Dopiero wówczas wysyłano podwójnie szyfrowany pilny meldunek drogą radiową. Dodatkowo powiem, że opowieści, jakoby sztyfantom Mazurkiewicz (uciekier z polskiej misji przy ONZ w Nowym Jorku) coś wiedział na mój temat, należy uznać za mylenie tropów przez FBI. To nie tą drogą podróżowały informacje dotyczące mojej sprawy.

A.G.: No, ale zdjęć nie dało się wystać drogą radiową.

M.Z.: Od tego są kurierzy. Ich torby są jednak tak zabezpieczone, że jeśli ktoś będzie je nieumiejętnie otwierał, to cała zawartość się spopiełi. W środku wytwarza się temperatura około tysiąca stopni.

A.G.: Bell przekazywał materiały także bezpośrednio polskim oficerom wywiadu?

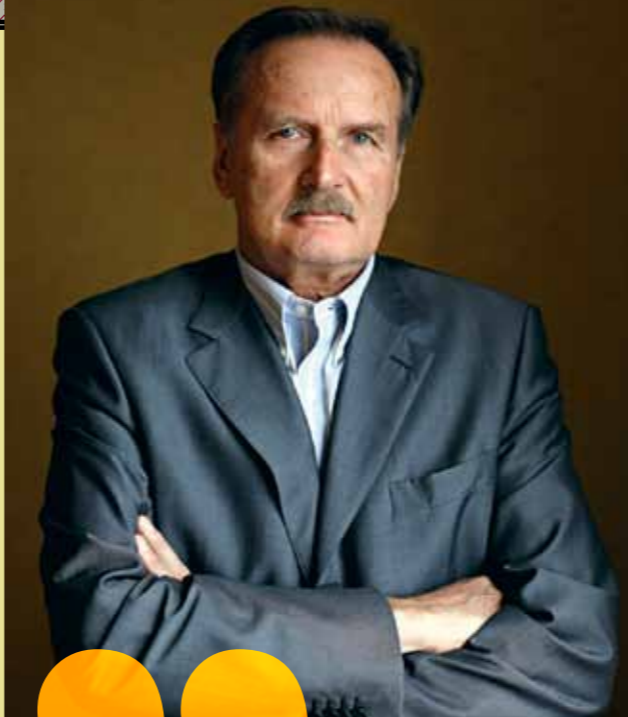
M.Z.: Tak, kilkakrotnie w Linzu czy Innsbrucku, gdzie negocjował cenę za swoje usługi oraz przekazywał mikrofilmy i otrzymywał część wypłat. Oficerowie wywiadu natomiast przekazywali mi listę danych, jakich od niego oczekiwali. Jeden z BPM-ów (błyskawiczne przejęcie materiałów) odbył się przy wyjściu z wagonika kolejki górskiej, kursującego na jeden z alpejskich szczytów.

A.G.: W 1981 roku nastąpiła wpadka – Bell przyciśnięty przez FBI i skuszony obietnicą łagodnego wyroku przyznał się do „kolaboracji” z panem. Zdekonspirował pana podobno były pracownik MSW Jerzy Koryciński, który na początku lat 80. uciekł do Szwecji.

M.Z.: Co do mojej wpadki, to jest to prawdopodobna wersja, choć nigdy nie została w stu procentach potwierdzona. Koryciński, niestety, po prostu pracował w tym samym pokoju co mój oficer prowadzący i niewykluczone, że coś tam dojrzał na mój temat. Jedno jest pewne: zeznał Amerykanom, że ja jestem w kontakcie z centralą i uzyskuję ważne dokumenty od sąsiada. Dla FBI to było już dużo, aby podjąć trop.

A.G.: Trafił pan do więzienia o podwyższonym rygorze z wyrokiem dożywocia, jednak ostatecznie sędził za kratami 4 lata. Kiedy wrócił pan do Polski, władza powitała pana jak bohatera.

M.Z.: Rzeczywiście, zostałem powitany z honorami, zaproponowano mi dobrą pracę – wkrótce zostałem dyrektorem Peweksu. Ale nie do końca jest prawdą, o czym zapewnia generał Czesław Kiszczak, że swoje uwolnienie zawdzięczał usilnym staraniom strony polskiej. Jestem przekonany, że gdyby to zależało wyłącznie od Warszawy, siedziałbym w amerykańskim więzieniu jeszcze dłużej. Do mojego uwolnienia, czyli wymiany



GENERAL GROMOSŁAW CZEMPIEŃSKI
O MARIANIE ZACHARSKIM

(„Angora” nr 31 i 32/2011)

– Ukradliście np. proszek IXI, a właściwie jego technologię.

– W technologiach byliśmy dobrzy.

Ale oni o technologię specjalnie nie dbali. Można powiedzieć, że były to „kontrolowane przekazania” (śmiech).

– Generała Zacharskiego jednak złapali.

– Była jedna osoba, która miała jeszcze większe osiągnięcia, a o niej się nie pisze. Zacharskiemu przypisuje się błędnie część sukcesów zupełnie innego oficera. Ale skoro Zacharski już został bohaterem, to na jego konto zaliczyło się wszystkie zdobycze. Tamten drugi miał spokój, choć Amerykanie doskonale

znali jego osiągnięcia w USA. Chcieli się z nim spotkać, wielokrotnie mnie o to prosili. Oczywiście bezskutecznie.

za 25 zachodnich szpiegów na berlińskim moście Glienicke, doprowadził wybitny eneradowski adwokat Wolfgang Vogel oraz szef wywiadu Stasi – Markus Wolf. Jestem im za to do zgonnie wdzięczny.

A.G.: Zakończył pan wówczas swą przygodę z wywiadem?

M.Z.: Nie, nie. Przez lata mogłem np. być kimś w rodzaju skrzynki kontaktowej dla oferentów.

A.G.: Oferentów?

M.Z.: Tak, ludzi, którzy pracują w jakiejś strategicznej branży i chcą zarobić na swojej wiedzy, przehandlowując ją obcemu wywiadowi. A ja niemal codziennie spotykałem się z biznesmenami z całego świata, jednocześnie byłem doświadczono-

nym oficerem wywiadu, więc doskonale pasowałem do roli skrzynki. Jednego mogli być pewni – że jestem odpowiednim adresem, a nie prowokatorem, a znając moje (powszechnie wówczas publikowane) dzieje, wiedzieli, że zachowałem godność w areszcie – nie pękłem. Jeśli chcieli zaryzykować, to kontakt ze mną dawał im poczucie większego komfortu niż jakiś „nieznany adres”.

A.G.: Wydawało się, że gwiazdy będą panu sprzyjać także po przemianach 1989 roku. Został pan pozytywnie zweryfikowany i nawet był pan o krok od nominacji na szefa wywiadu UOP. Podobno Amerykanie zaprotestowali przeciwko tej nominacji.

M.Z.: Niech pan nie wierzy w te bajki. Choć cały czas obowiązuje mnie zakaz wjazdu do USA, miałem bardzo dobre stosunki z Amerykanami, także z oficerami CIA, z którymi stykałem się w latach 90. Prawda jest prosta: to pewien dżentelmann z Urzędu Ochrony Państwa i politycy zablokowali mój awans, choć nie chcą precyzować, o kogo chodzi.

A.G.: No, a potem wybuchła ta wielka afera z „Olinem”, czyli Józefem Oleksym i jego domniemanymi związkami z rosyjskim wywiadem. Czy rzeczywiście pański szybki wyjazd z Polski kilka lat temu był konieczny, i czy uchronił pana przed jakimiś poważnymi konsekwencjami?

M.Z.: Proszę mi wybaczyć, ale o tej sprawie nie chciałbym mówić publicznie. Mam już jej dość.

A.G.: Wobec tego inaczej: w rozmowie ze mną agent CBA „Tomek”, czyli Tomasz Kaczmarek, ten od posłanki Beaty Sawickiej, wyznał, że prokuratura „zamiotła pod dywan” wiele z materiałów, które udało mu się zebrać przeciwko podejrzanym. Czy w aferze „Olina” zdarzyła się podobna sytuacja?

M.Z.: Tak uważam. Cała prawda o tej sprawie nigdy nie została ujawniona.

A.G.: Czytał pan ostatni wywiad Gromosława Czempieńskiego w tygodniku „Angora”? Co pan sądzi o jego niezbyt przychylnych wywodach na temat pańskiej osoby?

M.Z.: Po lekturze odniosłem wrażenie, że jakaś forma narcyzmu, pewnie w połączeniu z ludzką zazdrością, zaczyna przekraczać rozsądne granice. Nigdy nawet przez moment nie uważałem się za najlepszego w tej pracy – numerem jeden, jak dla mnie, pozostaje w sposób niezachwiany major Jerzy Sosnowski, o którym napisałem książkę. Czempieński pracował w tzw. wywiadzie politycznym. Natomiast nigdy nie był

związany z wywiadem naukowo-technicznym, stąd jego wiedza na ten temat jest co najwyżej szczątkowa. Jestem pewien, że nigdy nie czytał moich amerykańskich spraw, a zatem wyrażanie opinii w tym temacie ociera się o śmieszność. O informacje z pionu naukowo-technicznego należy zwracać się do generałów Henryka Jasika czy Bogdana Libery, którzy całe lata w nim przepracowali. To są oficerowie o najwyższym stopniu wiarygodności. Ich wypowiedzi nigdy nie zawierają takich prywatnych wyrznięk jak fragmenty wywiadu w „Angorze”. W tym przypadku dla mnie pan Czempieński jako źródło jest po prostu niewiarygodny.

A.G.: Czempieński zasugerował, że przypisano panu zasługi innego oficera wywiadu, chyba Zdzisława Przychodzenia.

M.Z.: Ależ ja znam tego oficera. Darzę go wielkim szacunkiem i uznaniem. Teza Czempieńskiego jest z gruntu fałszywa, bo sprawa, którą zajmował się ten oficer, dotyczyła zupełnie odmiennej sytuacji operacyjnej, wymagającej doraźnego działania, a także innego tematycznie rodzaju materiałów wywiadowczych. Wrzucenie tych spraw do jednego worka jest albo profesjonalnym nieporozumieniem, albo zamierzoną manipulacją, obliczoną na brak dostatecznej wiedzy czytelników. W innym fragmencie Czempieński jest uprzejmy sugerować, że Amerykanie dawali jakieś bliżej niesprecyzowane przyzwolenie na transfery technologii, nawet z tak wysokiej „półki” zaawansowania, do jakiej miała dostęp moja agentura. Nie będę się ustosunkowywał do tej wypowiedzi, bo jest absurdalna.

A.G.: A jednak generał Czempieński bardzo często występuje w mediach jako ekspert, zresztą w wielu kwestiach. Jego zdanie liczy się w kręgach opiniodawczych.

M.Z.: Z tym byciem ekspertem to, jak to w życiu, różnie bywa. Wiem z pewnego źródła, że gdy zaproszono go do studia telewizyjnego, aby skomentował niedawną wiedeńską wymianę szpiegów między USA i Rosją, Czempieński ochocko zgodził się na występ. Następnie gwałtownie szukał mojego kolegi, wybitnego oficera, aby się dowiedzieć, na czym w szczegółach polega wymiana i jak się ją przeprowadza. Przed kamerami był już ekspertem. Można zażartować – miał szczęście, że się dodzwonił.

A.G.: No, ale generał Czempieński był szefem wydziału tzw. kontrwywiadu zagranicznego.

M.Z.: Był. Myślę, że mógłby coś ciekawego opowiedzieć czytelnikom na temat tego fragmentu swojego życia zawodowego. Ja też chętnie bym poczytał...

Mam jeszcze jedną drobną uwagę do Czempirskiego. Otóż patrząc z dystansu, odnoszę wrażenie, że ma tendencję do zawłaszczania sukcesu operacji irackiej (w 1990 r. oficerem Zarządu Wywiadu Urzędu Ochrony Państwa udato się wywieźć z Iraku sześciu funkcjonariuszy amerykańskich służb – przyp. red.). To była zespołowa praca, i gdyby nie udział kilku anonimowych do dziś, ale autentycznych bohaterów, operacja mogła się skończyć różnie...

A.G.: A co sądzi pan o książce „Nielegalni” autorstwa Vincenta Severskiego (to oczywiście pseudonim), byłego pułkownika wywiadu, który w formie powieściowej postanowił m.in. zburzyć „mit Zacharskiego”?

M.Z.: Znam jej treść od kilku miesięcy. Teorie, które autor wygłasza na temat sprawy „Olina”, są tak absurdalne, że aż szkoda w ogóle je komentować. To, co napisał, raczej mi wygląda na wstawkę „na zamówienie” albo próbę zdynamizowania sprzedaży książki. Ten tzw. Severski otarł się o pracę w „I”, czyli inspiracji i być może dlatego postanowił zabawić czytelników swoimi inspiracjami na temat „Olina”.

A.G.: Do kogo wołałby pan być porównywany – do rotmistrza Jerzego Sosnowskiego czy do pułkownika Ryszarda Kuklińskiego?

M.Z.: Zdecydowanie do Jerzego Sosnowskiego. Ja nie mam nic do Kuklińskiego jako osoby prywatnej, natomiast uważam, że skoro złożył przysięgę wierności, to – bez względu na to jak oceniamy podmiot tej przysięgi – nie powinien jej łamać. Mógł wystąpić z wojska, związać się z opozycją...

A.G.: To chyba nie było takie proste wystąpić wówczas z wojska.

M.Z.: Nic w życiu nie jest proste. Zdradzić chyba też nie. Mój ojciec zawsze powtarzał, że Polska jest jedna. Zmieniają się przymiotniki: szlachecka, sanacyjna, komunistyczna, IV RP. Ale to ciągle ta sama ojczyzna. Proszę też pamiętać, że ja jestem ofiarą tych, co zdradzili – ostatecznie to za ich sprawą trafiłem na wiele lat do amerykańskiego więzienia. Dlatego zdrada zawsze wywołuje we mnie niechęć.

A.G.: Przenieśmy się do odleglejszej przeszłości. Bohater pańskiej książki rotmistrz Jerzy Sosnowski także był osądzany o zdradę. I na rzecz Niemców w okresie międzywojennym, i na rzecz ZSRR już po wywiezieniu go na Wschód w czasie wojny.

M.Z.: Zapewne nigdy nie dowiemy się, co Sosnowski naprawdę zeznał czy co obiecał enkawudzistom, ale proszę brać pod uwagę kontekst wydarzeń, do jakich

doszło w związku z nim po zwolnieniu z niemieckiego więzienia i powrocie do Polski. Sanacyjne władze, zamiast potraktować Sosnowskiego jak bohatera, zamknęły go natychmiast po przekroczeniu granicy, bez decyzji prokuratora czy sądu, na 17 miesięcy do aresztu „domowego” – podejrzewano go m.in. o to, że współpracował z niemieckim wywiadem. Po siedemnastu miesiącach oficjalnie go aresztowano. Po kolejnych wielu miesiącach postawiono przed sądem. Choć postawionych zarzutów współpracy z niemieckim wywiadem mu nie udowodniono, dostał wyrok – nigdy nie uprawomocniony – 15 lat więzienia.

A.G.: Ktorego nie odsiedział.

M.Z.: Bo zaczęła się wojna i więźniów ewakuowano na wschód. Rzecz w tym, że choć innych więźniów (w tym skazanych za zdradę) z reguły wypuszczano po drodze, Sosnowskiego więziono do samego końca. Chciał, tak jak inni, próbować przekroczyć granicę węgierską, ale mu na to nie pozwolono. Ba, eskortujący go oficerowie nawet próbowali go rozstrzelać w okolicach wsi Jaremcze (nieдалеko od Nadwórnej). W końcu trafił w ręce bolszewików, którzy zainteresowali się asem polskiego wywiadu. Co im powiedział? Tego nie wiemy, ale pamiętajmy, że dla niego była to walka o życie. Nie wykluczam, że jego wiedza im się przydała, bo prawdopodobnie podjęli próbę wykorzystania „niespalonych” niemieckich kontaktów Sosnowskiego.

A.G.: Tak pan uważa? Przecież Niemcy i ZSRR byli wtedy sojusznikami.

M.Z.: Kreml nie miał złudzeń co do trwałości tej koalicji i bardzo zależało mu na kontrolowaniu Niemców. A Rosjanie doskonale wiedzieli, że Sosnowski miał fantastyczne rozeznanie sytuacji w III Rzeszy – ostatecznie wystął do Polski kilkaset raportów, dotyczących zbrojenia się tego kraju czy opracowań nowych taktyk (w tym Blitzkriegu), użycia poszczególnych formacji sił zbrojnych, także pod kątem wojny z Polską. Dokumenty niemieckie, do który dotarłem w berlińskich archiwach, są porażające – wynika z nich, że nasz kraj sąsiedował z dwoma mocarstwami, szykującymi się niemal przez całe dwudziestolecie do natarcia na swojego głównego wroga. Na Polskę, która miała ponownie zniknąć z map świata.

A.G.: Sosnowskiemu zarzucano też, że sprzeniewierzał służbowe pieniądze, żył ponad stan, że koszty utrzymania jego berlińskiej placówki przerastały możliwości państwowego budżetu.

M.Z.: Brzmi to jak kiepski żart, bo to właśnie panowie pułkownicy, trzymający

ster władzy, lubowali się w wystawnych rautach i przyjęciach, które kosztowały Polskę majątek. Skromność, która cechowała marszałka Piłsudskiego, była w sferach rządzących wyjątkiem. Faktycznie, berlińska placówka Sosnowskiego In-3 pochłaniała niemal 40 procent wszystkich pieniędzy przeznaczonych na wywiadowczą penetrację Zachodu, ale ona dostarczała niezwykle cennych informacji o charakterze strategicznym! Owszem, inni agenci raportowali, gdzie i w jakich ilościach produkuje się jakieś karabiny czy armaty, ale to nie dawało żadnego całościowego poglądu na istotę planów, jakie mieli wobec nas Niemcy. A Sosnowski precyzyjnie ostrzegał przed realnym zagrożeniem. Na początku lat 30. pisał, że pokój potrwa najwyżej dziesięć lat. Niewiele się pomylił.

A.G.: No, ale były też przestanki pozwalające sądzić, że wojenny kataklizm wcale nam nie grozi.

M.Z.: Owszem, a jedna z nich była efektem błędu Dwójki, czyli wywiadu wojskowego. Otóż Polacy i Francuzi kupili fałszywkę niemieckiego Planu A, napisaną wręcz na kolanie przez niejakiego Johana Antona Schrecka – wynikało z niej, że Niemcy prawie w ogóle nie przygotowują się do wojny, a jeżeli już to robią, to chaotycznie. Jak można było w to uwierzyć wiedząc, że niemiecka szkoła sztabowa była wówczas uznawana za najlepszą na świecie? Materiał ten kosztował nas 10 tysięcy dolarów. Jakis czas potem Sosnowski dostarczył naszym władzom prawdziwy Plan A, z zupełnie innym prześłaniem. Ci, którzy zainwestowali w kwit Schrecka, zaczęli podważać jego wartość – przyznanie się do błędów byłoby jednoznaczne z kompromitacją szefów ważnych pionów Oddziału II SG. Cywilna odwaga nie była wśród nich w cenie.

A.G.: I w tym widzę pewną zbieżność waszych losów – i Sosnowski, i pan dostarczaliście polskiemu wywiadowi materiały, z którymi Warszawa nie umiała zrobić nic pożytecznego. Sosnowski rozpoznał potencjał militarny Niemiec i intencje Berlina wobec Polski, a pan, za pośrednictwem Williama Bella dostarczył wiele cennych informacji na temat systemów radarowych, wykorzystywanych przez amerykańskie siły zbrojne. Tyle że nasi specjaliści nie mieli pojęcia, o co w nich chodzi.

M.Z.: To prawda. W wypadku Sosnowskiego dochodzi jeszcze nieprzyjazna aura wobec jego osoby, jaka wytworzyła się w części środowisk wojskowych. Wszystko było dobrze, dopóki na czele Dwójki stał pułkownik Tadeusz Schaezel, oficer blisko związany z Piłsudskim, lider tak zwanego Ruchu Prometejskie-



JERZY SOSNOWSKI (1896 – dokładna data śmierci nieznana), oficer II Oddziału Sztabu Generalnego WP, szef berlińskiej placówki wywiadu „głębokiego” In-3, jeden z najwybitniejszych polskich szpiegów. W Berlinie pojawił się jako Georg Von Nalecz-Sosnowski w 1926 r. – udato mu się zwerbować do współpracy kilka osób zatrudnionych w Reichswehrze, m.in. oficera Abwehry Günthera Rudolffa. Jednak tron jego siatki stanowiły ustosunkowane kobiety – Benita von Falkenhayn, Renate von Natzmer czy Irene von Jena. Po wpadce w 1934 roku Sosnowski został skazany na dożywocie, natomiast von Natzmer oraz von Falkenhayn – na ścięcie toporem (podobno ta ostatnia w czasie egzekucji trzymała przed oczami zdjęcie polskiego agenta). W 1936 roku Sosnowski został wymieniony na 7 agentów Abwehry, jednak w Polsce czekał go... proces o zdradę i współpracę z Niemcami. W 1939 r. został skazany na 15 lat więzienia. Jego wojenne losy są owiane tajemnicą – najprawdopodobniej został przejęty przez radziecką bezpiekę. Co ujawnił śledczym oraz kiedy zmarł – nie wiadomo.

go (mającego na celu osłabienie Rosji, a następnie ZSRR poprzez wspieranie ruchów narodowościowych w tonie imperium – przyp. red.). Niestety, w 1929 roku Piłsudski przeniósł Schaezla do pracy w dyplomacji, do Paryża, by przekonywał Francuzów do idei wojny prewencyjnej przeciwko Niemcom. Szefem Dwójki został Tadeusz Peczynski, który już nie sprzyjał Sosnowskiemu tak jak jego poprzednik.

A.G.: Ale niechęć do Sosnowskiego nie płynęła z samej góry Dwójki?

M.Z.: Z kręgów kierowniczych. To była grupa ludzi przebiegłych, którzy prowadzili swoją grę, a Sosnowski stał się jej częścią. Jednym z tych, którzy przyłożyli się do sponiewierania Sosnowskiego, był kapitan Jerzy Niezbrzycki, szef referatu Wschód. Niezbrzycki był człowiekiem bystrym, ale trudnym, wyraźnie nienawdził

osiągnąć innych. Jako oficer okrępy w pracy w centrali wiedział jak postępować, aby zniszczyć Sosnowskiego, który w centrali nigdy nie pracował. Wie pan, w wywiadach takie wewnętrzne rozgrywki o władzę nie są aż taką rzadkością – bez względu na to, czy mówimy o Dwójce przedwojennej, czy powojennej, czy też o innych organizacjach wywiadowczych. W każdym skupisku ludzkim jest przewidywalna ilość osób wybitnych, osób podtych i mściwych, nie mówiąc o zwykłych obibokach starających się po prostu przetrwać. To Niezbrzycki wystąpił przed sądem w roli pryncypialnego rzeczoznawcy, oceniającego pracę rotmistrza. To on uznał, że dokumenty, dostarczane przez Sosnowskiego, są nieprawdziwe.

A.G.: Tymczasem wywiad radziecki miał niezłe rozeznanie w sprawach polskich.

M.Z.: Miał doskonałe rozeznanie – agencja sowiecka w Polsce była uplasowana bardzo wysoko, także w strukturach wojskowych. Kiedy w latach 20. nastąpiła faza wymiany informacji wywiadowczych między Berlinem a Moskwą, Niemcy byli zszokowani jakością materiałów, pozyskiwanych przez agentów sowieckich w naszym kraju.

A.G.: Przykłady naszych oficerów, którzy poszli na współpracę z bolszewikami, choćby Ludwika Lepiarza czy Piotra Demkowskiego, świadczą o tym, że najskuteczniejszym wabikiem były pieniądze. Wprawdzie niektórzy, jak choćby Demkowski, zapewniali, że zdrada miała podłoże ideologiczne, ale wypchana koperta zawsze stanowiła koronny argument. I chyba to się do dziś nie zmieniło?

M.Z.: Werbowanie to jest „zabawa”, którą Amerykanie określają mianem MICE (myszy), czyli Money – pieniądze, Ideology – ideologia, Coercion – przymus, zastraszanie oraz Ego. Faktycznie, ten pierwszy element jest najpopularniejszy, ale często idzie w parze z innymi elementami, na przykład z przymusem. W polskiej armii byli oficerowie, którzy przyznawali się do sympatii komunistycznych, ale pieniądze nie gardzili. Udowadniali, że *pecunia non olet*; że z ideologii nie da się żyć na wysokiej stopie. Częste były przypadki werbowania przy wykorzystaniu jakichś kompromitujących materiałów, głównie natury obyczajowej. Tak Rosjanie werbowali między innymi w Anglii, szukając kandydatów na szpiegów np. w kręgach homoseksualnych.

A.G.: A na co głównie werbował Sosnowski? Bo chyba nie chodziło wyłącznie o pieniądze?

M.Z.: On był szokujący elegancki i niezwykle szarmancki wobec kobiet, nie

zawsze przyzwyczajonych do takiego traktowania. Co więcej – postugiwał się pięknym językiem, nie używał słów wulgarnych, był też człowiekiem bardzo dyskretnym, nienarzucającym się. Mówiąc krótko – czarował swoją osobowością. I to był ten pierwszy efekt, który zjednywał mu kobiety. A przecież to one odegrały wielką rolę w jego pracy wywiadowczej: Benita von Falkenhayn, Irena von Jena czy Renata von Natzmer. No, a potem szły pieniądze. A trzeba pamiętać, że pensje pracowników Reichswehry były wręcz głodowe, co tylko ułatwiało Sosnowskiemu zadanie. Nawiąsem mówiąc, po wpadce placówki rotmistrza ptace w niemieckich siłach zbrojnych wzrosły radykalnie.

A.G.: Ale chyba nie ma takiej pensji, która zapobiegłaby pokusie przyjęcia dodatkowego wynagrodzenia, tym razem od obcego wywiadu? Słynny szpieg ZSRR w CIA Aldrich Ames był urzędnikiem wysokiego szczebla, i zarabiał naprawdę dużo. A jednak chciał jeszcze więcej. I gotów był dla tych pieniędzy poświęcać amerykańskich szpiegów, pracujących w radzieckich strukturach wywiadowczych. Ale to bogactwo go zgubiło, bo zbyt szybko się nim afiszował.

M.Z.: Dlatego Sosnowski przestrzegał swe współpracownicy, aby nie wydawały zbyt dużo na dobrą, które najłatwiej dostrzec, aby nie bywały często w najdroższych lokalach itp. Chciał, aby wydawały pieniądze, bo jak sam mawiał „agent syty traci chęć do pracy”, ale nie mogły publicznie obnosić się z nagłym bogactwem. I one przeważnie stosowały się do jego zaleceń. Niemal wszystkie pieniądze, jakie von Natzmer dostawała od Sosnowskiego, zostały odnalezione przez Abwehrę. Kobieta wydawała na to, na co musiała (np. na opiekę lekarską nad chorym ojcem), ale dużą część trzymała na czarną godzinę. Generalna zasada: bardzo trudno sterować wydatkami agenta. Szczególnie agenta głodnego życia, który z braku pieniędzy dotąd musiał sobie odmawiać rozmaitych przyjemności. To zawsze jest stabe ogniwo w tej pracy.

A.G.: Czym pan się teraz zajmuje?

M.Z.: Historią stosunków polsko-niemieckich w latach międzywojennych – ona mnie w tej chwili najbardziej fascynuje. Mam dostęp do niemieckich archiwów, które są kopalnią wiedzy między innymi o pracy polskiego wywiadu II RP. Myślę, że wkrótce opublikuję kolejną książkę na ten temat. Bo warto przypominać to, z czego możemy być dumni, nie unikając tego, czego powinniśmy się wstydić. Fakty i prawda nie zawsze mają smak słodczy.